ŚWIĘTY TYTUS BRANDSMA 1881–1942

Ojciec Tytus Brandsma był holenderskim karmelitą, którego naziści zamordowali w obozie koncentracyjnym w Dachau. Kościół ogłosił go „błogosławionym", ponieważ wyszedł naprzeciw śmierci świadomie i dobrowolnie, by bronić chrześcijańskich zasad przed potworem, który pożerał wówczas Europę i ludzkie sumienia.

Fakt, że jest on jednym z niewielu więźniów, którzy otrzymali teologiczną kwalifikację „męczennika" (w łagrach zginęły przecież tysiące innych kapłanów i świeckich, uwięzionych z powodu wiary), wynika z opatrznościowego zbiegu okoliczności. Przed końcem wojny policja bezpieczeństwa zniszczyła wszystkie archiwa i dokumentację dotyczącą więźniów. Jednak teczka ojca Tytusa (protokoły procesowe, dowody obciążające, notatki więzienne, portret w pasiaku wykonany przez współwięźnia) ocalała przed spaleniem. Ten, któremu powierzono jej zniszczenie, nie miał odwagi wykonać rozkazu: „W tych papierach – powiedział – jest coś nadzwyczajnego, nie mam sumienia ich spalić".

Dzięki temu Kościół dysponował wszystkimi niezbędnymi dowodami, które ponad wszelką wątpliwość potwierdzają, że ojciec Tytus Brandsma został zabity właśnie z nienawiści do wiary i misji kapłańskiej, a nie tylko z pobudek politycznych. Oto historia, którą musimy opowiedzieć.

Hitler przypuścił ofensywę przeciwko Holandii 10 maja 1940 roku i podbił ją w pięć dni, dokonując inwazji powietrznej, która zniszczyła nieliczne siły lądowe tego kraju. Jednak Tytus Brandsma podjął swoją walkę znacznie wcześniej.

Nie był postacią anonimową: miał wówczas pięćdziesiąt dziewięć lat, był profesorem filozofii i „historii mistyki" na Katolickim Uniwersytecie w Nijmegen, którego był również rektorem (Rector Magnificus). Posiadał międzynarodową legitymację dziennikarską i był asystentem kościelnym holenderskich dziennikarzy katolickich. Był ponadto cenionym prelegentem znanym w całej Europie, a nawet za oceanem, a jego studia nad duchowością były tekstami źródłowymi. Jego bibliografia (niedawno opublikowana) liczy – między książkami a artykułami – 796 pozycji.

Choć Holandia nie zrobiła niemal nic, by przygotować się do zbrojnego oporu przeciw nazizmowi, opór moralny i kulturowy był wyraźny i natychmiastowy. Już w 1936 roku – gdy wiadomości nie były jeszcze tak rozpowszechnione ani pewne – opublikowano książkę zatytułowaną *Holenderskie głosy o traktowaniu Żydów w Niemczech*. Dzieło zawierało wystąpienie Brandsmy, które okazało się tak niemile widziane przez nazistów, że echa dotarły aż do Berlina.

Reżimu nie niepokoiła sama krytyka, lecz to, że profesor Brandsma bez ogródek oskarżał ich o „tchórzostwo". „To, co robi się teraz przeciwko Żydom – pisał – jest aktem tchórzostwa. Wrogowie i przeciwnicy tego narodu są doprawdy nędzni, jeśli uważają, że muszą postępować w tak nieludzki sposób, a jeśli myślą, że w ten sposób manifestują lub zwiększają siłę narodu niemieckiego, jest to iluzja słabości".

Nietrudno sobie wyobrazić, jak bardzo te słowa musiały parzyć tych, którzy rościli sobie prawo do narzucania kultu rasy aryjskiej, głosząc jej siłę, szlachetność i mistyczną

wyższość. W berlińskim dzienniku „Fridericus" pojawił się artykuł zatytułowany *Ten złośliwy profesor*, w którym odpowiadano holenderskiemu zakonnikowi, że Żydzi w Niemczech, „ci, którzy zachowują się spokojnie i inteligentnie", mają do dyspozycji „liczne okazje do wyrażania siebie i rozwoju". Dlatego profesor Brandsma powinien im jedynie doradzać, jak „lepiej prosperować".

Tymczasem naziści rozpowszechniali w Holandii plotkę, że zakonnik ma „sympatie komunistyczne". Polemikę natychmiast podchwycili holenderscy naziści, odpowiadając artykułem: *Król Radbod czy profesor Brandsma?*. Król Radbod był dawnym bohaterem ojczyzny Tytusa – Fryzji, położonej tam, gdzie holenderskie wybrzeża stykają się z Morzem Północnym. To ziemia surowa i dumna, niegdyś zamieszkana przez jasnowłosych, gigantycznych Fryzów; później święty Willibrord nawrócił ich na chrześcijaństwo, przez co rasa – według autora artykułu – „zdegenerowała się".

Sens artykułu był taki, że trzeba wybrać: albo powrót do dawnej szlachetnej i wojowniczej tożsamości, albo dalsza akceptacja tej słabej, głoszonej przez chrześcijaństwo. Czy zatem Holendrzy wolą dawnego bohatera, czy trzymają z tym chudym, mizernym zakonnikiem, który marnuje czas na badanie chrześcijańskich tradycji swojej ziemi? Bombastyczną argumentację kończyli inwektywą: „O Fryzie, jakże się zmieniłeś w porównaniu ze swoimi przodkami!".

Były to ataki głupie, ale służyły – według ekspertów od propagandy reżimu – szerzeniu wśród młodzieży „nowej ewangelii" aryjczyków.

Powstanie „Narodowosocjalistycznego Ruchu Holenderskiego" (NSB) nastąpiło już w 1932 roku, a biskupi natychmiast zakazali katolikom przynależności do niego. W 1937 roku Pius XI wydał encyklikę *Mit brennender Sorge*, w której zdefiniował nazizm jako „prowokacyjne neopogaństwo", „wyparcie się jedynego Kościoła" oraz „jawną apostazję". W 1938 roku Stolica Apostolska wezwała wszystkie uniwersytety katolickie do odpierania teorii narodowosocjalistycznych na podstawach naukowych, aby pomóc wierzącym w oporze także kulturowym.

Tytus bezzwłocznie, w roku akademickim 1938–39, poprowadził dla swoich studentów kursy na temat „zgubnych tendencji" narodowego socjalizmu. Poruszał w nich kluczowe kwestie: wartość i godność każdej osoby ludzkiej (zdrowej czy chorej), równość i dobroć każdej rasy, niezniszczalną i nadrzędną wartość praw naturalnych wobec każdej ideologii oraz obecność Boga jako przewodnika w ludzkiej historii – przeciwko wszelkiemu politycznemu mesjanizmowi i bałwochwalstwu władzy.

Wie, że wśród jego słuchaczy znajdują się także partyjni szpiedzy. W swoich kazaniach pogłębia religijny aspekt sprawy, wyjaśniając, że każda egzaltacja rasy, czystości etnicznej czy siły jest próbą obalenia Ewangelii i uderzeniem w samo serce wiary chrześcijańskiej. „Żyjemy w świecie, w którym potępia się już nawet miłość, twierdząc, że jest ona słabością, którą należy przezwyciężyć. Nie miłość, lecz rozwijanie własnej siły. Niech każdy będzie tak silny, jak tylko potrafi, i pozwoli zginąć słabym! Twierdzą w ten sposób, że religia chrześcijańska ze swoim nauczaniem o miłości przeżyła już swój czas i musi zostać zastąpiona przez dawną germańską potęgę. Z takimi doktrynami przychodzą do was i

znajdują ludzi, którzy je przyjmują. O miłości się zapomina… Ale nawet jeśli nazizm wypiera się miłości, to właśnie miłością zwyciężymy to nowe pogaństwo. Historia już to udowodniła!".

Nie poprzestaje on jedynie na ustnych potępieniach. W 1940 roku współpracuje przy planie umożliwiającym tysiącowi Żydów emigrację do Brazylii; zgoda brazylijskiego rządu została uzyskana bezpośrednio przez Piusa XII. Na początku 1941 roku holenderscy biskupi oświadczają, że przynależność do Ruchu Narodowosocjalistycznego jest niedopuszczalna pod karą grzechu ciężkiego, „nawet jeśli wpisanie się na listę nie wynika z poparcia dla celów ruchu, lecz dla korzyści natury doczesnej. Nawet naciski i obawa przed poważnymi szkodami nie stanowią wystarczającego powodu".

W lipcu tego samego roku „Związek Katolickich Pracowników" zostaje przejęty przez rządowy zarząd komisaryczny i oddany na służbę partii. Biskupi cofają swoje uznanie dla związku i ostrzegają, że wszystkim członkom, którzy nadal będą do niego należeć, zostaną odmówione sakramenty. W grudniu partii zostają podporządkowane „Katolicki Związek Rolników" oraz „Federacja Nauczycieli Katolickich". Biskupi wzywają wówczas członków do wypowiedzenia wszystkich subskrypcji pod karą wykluczenia z sakramentów (a warto pomyśleć, że tylko ta ostatnia federacja liczyła 13 000 członków!). Tym, którzy oskarżali wówczas hierarchię katolicką o nienależną ingerencję w sferę społeczno-polityczną, biskupi odpowiadali: „Nie. Tu nie chodzi o władzę polityczną. Chodzi o istnienie lub nieistnienie chrześcijaństwa!".

Ojciec Brandsma wyjaśniał ze swej strony, że inwazja podobnej ideologii – którą nazywał „czarnym kłamstwem" – była „straszniejsza niż sama inwazja militarna". Gdy i ta nastąpiła, a ustanowiono rząd kolaboracyjny, nie bał się napisać: „rząd taki jak ten, który mamy obecnie, który przy każdej okazji dawał i daje dowody swojej słabości, któremu brakuje elementarnej wiedzy o własnych zadaniach, nie może długo przetrwać w cywilizowanym kraju". Było to wciąż to samo oskarżenie, którego naziści nie potrafili przełknąć: cała ta demonstracja siły i wszechwładzy była jedynie słabością i marnością.

Słuchając o nim, można odnieść wrażenie, że nasz Tytus ma posturę niezłomnego zapaśnika. W rzeczywistości jest to pięćdziesięciodziewięcioletni, chorowity człowiek. Tuż po inwazji musi poddać się hospitalizacji, ponieważ – jak mówi – „nogi mnie już nie niosą, a kolana uginają się w każdej chwili". Do przyjaciela pisze: „Na szczęście wciąż mogę zajmować się tym, co niezbędne, w pozostałych kwestiach poddaję się z cierpliwością". „To, co niezbędne", to śmiertelna walka, którą podejmuje.

Słabego zdrowia był przez całe życie. Siła jego fryzyjskiego rodu – wciąż widoczna u ojca, który spędza życie na ciężkiej pracy w polu i przy hodowli bydła – w nim zawsze była całkowicie wewnętrzna: niezniszczalna siła ducha i charakteru w kruchym ciele. Wybrał oczywiście życie w surowym zakonie – jakim był wówczas zakon karmelitański – co jeszcze bardziej wzmocniło jego ducha, lecz ciało pozostało słabe. Z tego powodu w latach formacji musiał często przerywać studia; bywał zmuszony do przekładania egzaminów, a nawet musiał pokonać atak gruźlicy, spędzając długie miesiące w łóżku, na granicy życia i śmierci.

Studiował filozofię i teologię w kolegiach zakonnych, budząc pewien niepokój z powodu niektórych idei, które wówczas wydawały się nieco „modernistyczne". Po święceniach kapłańskich specjalizował się w Rzymie w filozofii i socjologii, zaczynając precyzować swój kierunek apostolski. Fascynują go dwa pola pracy, pozornie od siebie odległe: dziennikarstwo oraz studia nad dawnymi autorami mistycznymi. Jako dziennikarz zaczął współpracować z lokalnymi periodykami jeszcze jako student i założył pismo poświęcone kulturze karmelitańskiej. Jako kapłan zostanie później redaktorem naczelnym dziennika w Oss, mieście, w którego klasztorze rezydował.

Jako badacz mistyki – po długiej podróży studyjnej do Hiszpanii – rozpoczął publikację dzieł św. Teresy z Ávili w języku holenderskim. W 1923 roku w Nijmegen zostaje założony Uniwersytet Katolicki, a Tytusowi zostaje zaproponowana katedra filozofii i historii mistyki. To przede wszystkim ta dziedzina go pociąga: specjalizuje się więc w badaniu wielkich mistyków karmelitańskich oraz w poszukiwaniach dotyczących średniowiecznych mistyków holenderskich. W tym celu zakłada specjalny instytut badawczy, wyposażając go w czasopismo i bibliotekę, wzbogacając go o pokaźne archiwum fotokopii dawnych rękopisów (około 17 000), mikrofilmów i przeźroczy wykonanych przez niego samego.

Jako badacz i prelegent odbywa podróże do Włoch, Niemiec i Stanów Zjednoczonych, organizuje kongresy w kraju i za granicą. W 1932 roku – jak już wspomnieliśmy – zostaje mianowany Rektorem Magnificusem. Jeśli w tamtych latach kierowano pod jego adresem jakąś krytykę, to taką, że „profesor ma czas na wszystko i dla wszystkich": na naukę, apostolat, działalność charytatywną i misyjną, rozmowy z ludźmi w potrzebie. Działo się to nieco kosztem jego dorobku naukowego. Gdy umiera Pius XI, jeden z jego współbraci mówi: „Bez obaw, profesor Tytus jest gotowy zrobić nawet to!".

B 1935 roku holenderscy biskupi powierzają mu funkcję „asystenta kościelnego" dziennikarzy katolickich. W Holandii istniało wówczas około dwudziestu tytułów prasowych – z czego trzy o charakterze ogólnokrajowym – o tak szerokim zasięgu, że szacowano „jeden egzemplarz dziennika na pięciu mieszkańców". W 1937 roku dzięki swojemu autorytetowi udaje mu się ponownie zjednoczyć partię katolicką, która rozpadła się na dwa odłamy. To zatem jego zasługą jest powstanie w tamtych latach „Zjednoczonej Partii Katolickiej". O jego życiu jako osoby konsekrowanej nie można powiedzieć nic innego, jak tylko to, że cieszy się szacunkiem wszystkich za powagę i dobroć, z jakimi realizuje swoje powołanie zakonne, potrafiąc godzić je z obowiązkami zawodowymi.

Pewne jest, że posiadał on głęboką wizję charyzmatu karmelitańskiego, w którym krótkimi rysami nakreślił owe „maryjne serce", na które także dzisiaj karmelici – oraz związane z nimi ruchy – z mocą kładą nacisk. Pozostawił po sobie zapisane słowa: „Cechą charakterystyczną powołania karmelitańskiego – a w szerszym znaczeniu powołania wszystkich chrześcijan – jest bycie innymi *theotòkoi*, czyli innymi rodzącymi Boga, tak jak była Nią Maryja". „Maryja, Matka wszystkich ludzi, jest przykładem tego, jak Bóg musi zostać na nowo zrodzony w nas. Musimy uznać się za dzieci Maryi, ponieważ Jej Syn jest naszym bratem. Ona nauczy nas, jak przyjąć Chrystusa, jak Go w sobie zrodzić i nieść Go ponownie światu". „Naszym obowiązkiem jest gościć Boga w sobie, tak jak Maryja Go gościła".

Ta tak harmonijna egzystencja, w której nauka doskonale stapia się z modlitwą i miłosierdziem, jest – bez wiedzy samego Tytusa – długim przygotowaniem do owych „niezbędnych zadań", do których Bóg nagle go powołuje.

Powróćmy zatem do walki przeciwko nazistowskim najeźdźcom. Po pierwszych potyczkach, o których wspominaliśmy, nadchodzi czas najpoważniejszych rozstrzygnięć. 20 lutego 1941 roku „Monitor Holenderski" publikuje rozporządzenie nowego Ministra Edukacji, na mocy którego członkom duchowieństwa i osobom zakonnym nauczającym w szkołach państwowych obniża się pensję do 60 procent. Cztery dni później dodaje się, że w żadnym wypadku nie mogą oni piastować funkcji kierowniczych, a wręcz muszą zostać z nich odwołani, jeśli takowe sprawują.

Ojciec Tytus, będący również przewodniczącym „Związku Szkół Katolickich", pyta Sekretarza Generalnego ministerstwa o powód takiej decyzji. Odpowiadają mu brutalnie, że nie ma innego celu, jak tylko odcięcie subwencji dla Kościoła. Po kilku miesiącach pojawia się rozporządzenie zabraniające szkołom katolickim przyjmowania uczniów żydowskich, nawet jeśli są konwertytami: wszyscy muszą zostać wydaleni ze szkół każdego stopnia.

Tytus wysyła wówczas okólnik: „…Uważamy za rażącą niesprawiedliwość i za atak na misję Kościoła fakt, że siłą usuwa się ze szkoły osoby należące do tego Kościoła lub osoby pragnące jego nauczania. W wypełnianiu swej misji Kościół nie czyni żadnej różnicy ze względu na płeć, rasę czy narodowość". Tak rozpoczyna się dzieło obywatelskiego nieposłuszeństwa, które naziści kładą kres rok później, deportując wszystkich żydowskich studentów.

Jednocześnie wybucha kwestia publikowania w dziennikach katolickich ogłoszeń holenderskiego Ruchu Narodowosocjalistycznego (NSB). Są one odrzucane, nawet jeśli chodzi o płatne inseraty. Ministerstwo Propagandy informuje wówczas, że „zabrania się odmawiania", ponieważ owe ogłoszenia „nie zawierają niczego uwłaczającego ani osobom, ani grupom". W rzeczywistości zawierają coś gorszego: propagandę i apologię nazizmu oraz jego organizacji.

Okólnik Tytusa nie daje na siebie czekać: „Dyrekcje i redakcje niech wiedzą, że będą musiały formalnie odrzucać takie komunikaty, jeśli chcą zachować katolicki charakter swoich gazet; i to nawet jeśli taka odmowa doprowadziłaby gazetę do bycia zastraszaną, ukaraną grzywną, zawieszoną tymczasowo lub nawet definitywnie. Nie ma innej drogi. Tym samym dotarliśmy do granicy". W przeciwnym razie „nie powinny być dłużej uważane za katolickie… i nie będą mogły liczyć na katolickich czytelników i abonentów, i będą musiały skończyć w niesławie" (List okólny z 31 grudnia 1941 r.).

Nie minęło piętnaście dni, gdy policja zaczęła poszukiwać ojca Tytusa, lecz ponieważ był nieobecny z powodu obowiązków służbowych, nie udało im się go odnaleźć przed 19 stycznia. Ledwie wrócił do klasztoru z długiej podróży, gdy zjawili się dwaj agenci Gestapo, którzy podając się za studentów, poprosili o pilną rozmowę z profesorem Brandsmą.

Przyjęci z właściwą ojcu serdecznością i troską, jaką rezerwował dla swoich studentów, zakomunikowali mu z niemiecką precyzją: „musi pan udać się z nami do Arnhem pociągiem o 18:30". Wcześniej jednak chcieli przeszukać jego pokój. Podczas gdy przewracali wszystko do góry nogami i upychali w walizce listy oraz dokumenty, Tytus w milczeniu przygotowywał torbę podróżną. Następnie, nie bez ironii, uprzedził obu: „Już czas, panowie. Holenderskie pociągi nie mają zwyczaju się spóźniać, nawet po to, by czekać na niemieckich policjantów".

Holenderscy biskupi, których reprezentował w tej walce, zalecali mu: „W razie aresztowania, zrzućcie wszystko na nasz rachunek". Ale Tytus zdecydował, że za wszystko odpowie osobiście. Wprowadzony do lodowatego więzienia, wszedł tam, stwierdzając z dobrotliwą ironią: „Nie każdemu zdarza się trafić do więzienia po sześćdziesięciu latach uczciwego życia". Towarzyszący mu funkcjonariusz nie zrozumiał żartu, wziął go za skargę i odciął się: „Gdybyście nie chcieli tu skończyć, nie należało przyjmować rozkazów arcybiskupa".

W ten sposób, bezwiednie, usankcjonowali fakt, że był tam z powodu posłuszeństwa Kościołowi: świadectwo tyleż cenne, co nieproszone! I rzeczywiście, Tytus odpowiedział, że „uważa za zaszczyt" bycie aresztowanym z tego powodu.

Proces rozpoczął się w Hadze 21 stycznia 1942 roku. Przesłuchiwał go kapitan Hardegen z Policji Specjalnej, należący do SS. Rozpoczęto od drobiazgowej rekonstrukcji wszystkich jego podróży, zadań wykonywanych z mandatu biskupów, zwłaszcza tych dotyczących prasy. Następnie przeszto do zarzutów zasadniczych. Ojciec Tytus z całym uporem bronił stanowiska zajętego przez episkopat. Powtarzał wielokrotnie: „Kościół katolicki stosuje się do zarządzeń sił okupacyjnych i władz holenderskich tylko dopóty, dopóki nie są one sprzeczne z fundamentami jego wiary. Gdy pojawiają się konflikty dotyczące fundamentów doktrynalnych, wtedy Kościół odmawia współpracy i akceptuje tego konsekwencje". I podsumował: „Otóż postawę holenderskiego episkopatu czynię moją własną".

Następnego dnia kapitan zażądał od Tytusa pisemnej odpowiedzi na następujące pytanie: „Dlaczego naród holenderski, zwłaszcza w jego części katolickiej, sprzeciwia się Narodowosocjalistycznemu Ruchowi Holenderskiemu?".

Miał pisać jasno i z pełnym spokojem. Z tej okazji pozwolono mu nawet na wszystko, co było mu potrzebne do palenia fajki, co od zawsze było jego nawykiem. Nie dając się prosić, zapisał dziewięć gęstych stron drobnym pismem. Odpowiedział, że NSB wypiera się tradycji narodu holenderskiego, wypiera się jego historii, a przede wszystkim tych zasad chrześcijańskich, które były zakorzenione w samym sercu jego ludu. Wyjaśnił, że „w stuleciach, w których wiara Holendrów była uciskana, tak wielu z nich z entuzjazmem poświęciło swoją pozycję społeczną, swoje posiadłości, rodzinę, a nawet życie", i ostrzegł ich, że wielu „jest gotowych oddać życie także teraz, by wyznawać swoją wiarę, gdyby ta została poddana uciskowi".

Nie omieszkał dodać, że Holendrzy odrzucają tę partię, ponieważ jest ona uległa Niemcom „w sposób nędzny i dziecinny", a także z powodu „skrajnej arogancji i ogromnej

niekompetencji wielu jej przywódców". Konkludował: „Miłość do wolności jest wielka w naszym narodzie. Tak wielka. Nasz naród jest realistyczny, opanowany, cierpi i ufa. Czeka spokojnie na dzień, w którym znów będzie wolny. Gorąco pragnie tej chwili… Holandia to wciąż zawsze Holandia". Później, jednemu ze współwięźniów wyzna, że: „Wiedziałem, że podpisuję na siebie wyrok śmierci…".

W rocznym raporcie o sytuacji w Holandii, wysłanym do Berlina przez „policję bezpieczeństwa", profesor Brandsma jest wielokrotnie wskazywany jako organizator szeroko zakrojonej działalności antynazistowskiej, a jego aresztowanie określono jako „niezbędne", ponieważ „jego działalność ma na celu narażenie na szwank reputacji rządu niemieckiego i narodowego socjalizmu oraz podważenie jedności narodu holenderskiego". Z dużą gorliwością Hardegen doradzi „długotrwały areszt ochronny profesora Brandsmy" – w domyśle: dla ochrony partii. Oddawał mu jednak honor, uznając, że „profesor Brandsma jest prawdziwym człowiekiem z charakterem, o niezłomnych przekonaniach", a przede wszystkim wyjaśniał, że więzień zamierzał „chronić chrześcijaństwo przed narodowym socjalizmem". Z właściwą sobie precyzją niemieccy oprawcy przygotowywali w ten sposób wszystkie dowody i dokumentację niezbędną, by Kościół uznał pewnego dnia świętość i męczeństwo tego swojego syna!

W celi Tytus zaczął pisać dziennik: „…Powołanie do Kościoła i kapłaństwa wzbogaciły mnie o tyle słodyczy i radości, że teraz chętnie akceptuję wszystko, co może wydawać mi się przykre. Powtarzam za Hiobem: 'Pan dał, Pan wziął; niech imię Pańskie będzie błogosławione'… Choć nie wiem, jak to się skończy, wiem dobrze, że spoczywam w rękach Boga: 'Któż nas odłączy od miłości Chrystusowej?'". „Z pewnością brakuje mi Mszy świętej i Komunii, ale Bóg jest tak samo blisko mnie, we mnie i ze mną… Pociechą i bodźcem jest dla mnie słynny fragment, który święta Teresa trzymała w swoim brewiarzu: 'Nada te turbe, nada te espante. Todo se pasa. Dios no se muda… sólo Dios basta' (Niech nic cię nie trwoży, nic nie przeraża. Wszystko przemija. Bóg się nie zmienia… Bóg sam wystarcza)".

Reflektuje, że jako mnich powinien być przyzwyczajony do przebywania w celi – tej celi, którą *O naśladowaniu Chrystusa* definiuje jako „słodką" – i komentuje: „Tak, ale kiedy zostaje się wsadzonym do celi więziennej późnym wieczorem, a drzwi zostają zamknięte z zewnątrz na solidny rygiel, człowiek czuje się co najmniej zmieszany. Zresztą fakt, że trafiam do więzienia w tak zaawansowanym wieku, skłaniał mnie raczej do uśmiechu nad humorystyczną stroną tego zdarzenia, niż do smutku nad jego tragizmem".

Policja powiedziała mu, że to tylko na jedną noc, więc kiedy następnego ranka – po nocy, w której poczuł odrazę śpiąc na brudnym sienniku – przyniesiono mu pościel, zauważył, że nie jest już potrzebna. „Proszę ją wziąć – powiedział mu młody więzień, który ją roznosił – ja też myślałem, że zostanę tu tylko trzy dni, a prawdopodobnie zostanę trzy lata".

Na stoliku w celi ustawił w widocznym miejscu swoje trzy obrazki z brewiarza: Chrystusa na Krzyżu pędzla Fra Angelico w centrum, świętą Teresę po prawej i świętego Jana od Krzyża po lewej. Na półeczce nad łóżkiem trzymał brewiarz otwarty w miejscu, gdzie była piękna ilustracja Matki Bożej Szkaplerznej z napisem: „Spes omnium

Carmelitarum" (Nadzieja wszystkich Karmelitów). Dzięki temu ta cela więzienna stała się dla niego naprawdę jak cela klasztorna. „Czuję się w tej celi jak u siebie w domu. O beata solitudo! (O błogosławiona samotności!). Jestem sam, to prawda, ale nigdy Pan nie był mi tak bliski. Mam ochotę krzyczeć z radości, ponieważ On ponownie, w swej pełni, dał się mi odnaleźć; nie czekam na nikogo i żaden człowiek nie może do mnie przyjść. Bóg jest moją jedyną ucieczką i czuję się chroniony i szczęśliwy. Zostanę tu na zawsze, jeśli On tak postanowi. Rzadko byłem tak szczęśliwy i zadowolony".

Tam, w więzieniu, zaczął pisać *Życie świętej Teresy*, które obiecał pewnemu wydawnictwu. Ale niknął w oczach. Kiedy go zważono w ubraniu, waga wskazała 56 kilo. Cierpiał już na poważną infekcję pęcherza. Surowa pora roku z pewnością mu nie pomagała: „W najzimniejsze dni trzęsę się bez przerwy" – zapisał w dzienniku. Jednak w tym pierwszym więzieniu życie było jeszcze w miarę ludzkie. Sytuacja pogorszyła się, gdy przeniesiono go do Amersfoort, więzienia, które Niemcy urządzili jako „obóz przejściowy" przed deportacjami.

Był to już prawdziwy łagier, gdzie stłoczeni byli więźniowie polityczni oznaczeni czerwonym trójkątem – tak zwani „komuniści", wśród których rzucono także Tytusa – holenderscy zakładnicy, Żydzi, „egzegeci" (członkowie sekty religijnej, którzy używali Biblii do prorokowania upadku Hitlera) oraz oficerowie armii holenderskiej. Inną grupkę stanowiło 160 jeńców rosyjskich. Nie przetrwali długo: zostawiono ich na trzy dni nago na mrozie. Połowa zmarła w ciągu dwóch miesięcy. Reszta została poddana torturom i zabita. Tutaj Tytus zaczął dostrzegać krzyż, który na niego czekał.

W każdą niedzielę katolicy gromadzili się wokół niego, a on, siedząc na najwyższej pryczy, mówił spokojnie. Wyglądało to na zwykłą rozmowę, w rzeczywistości powoli wypowiadał słowa Mszy świętej. Nie mieli przyborów do odprawienia prawdziwej Eucharystii, ale Tytus recytował modlitwy z pamięci, komentował fragment Ewangelii, a potem następowała „komunia duchowa": patrzył każdemu głęboko w oczy i wypowiadał formułę używaną wówczas przy udzielaniu świętej hostii: „Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa niech strzeże duszy twojej na życie wieczne. Amen". Na czatach, by ostrzec przed zbliżającymi się strażnikami, ochotniczo stawali komuniści. Wieczorem każdy otrzymywał jeszcze błogosławieństwo i znak krzyża na czole.

Jest Wielki Piątek 1942 roku; strażnicy obozu oddają się szalonej orgii. Następnie wkładają koronę cierniową, zrobioną z miedzianych drutów, na głowę pewnego księdza i zmuszają więźniów do śpiewania hymnu: „O głowo uwieńczona kłującymi cierniami". W tym czasie pewien Żyd jest zmuszany do opowiadania o ukrzyżowaniu. Wieczorem tego strasznego dnia ojciec Tytus potajemnie prowadzi rozważanie o tajemnicy cierpienia. Oto relacja świadka: „Wokół niego więźniowie leżeli na pryczach ustawionych w trzech rzędach. W całym baraku śmierdziało zgniłymi chodakami, brudnymi ubraniami i potem. Ci ludzie o ogolonych głowach patrzyli na niego zgaszonymi, nieco złowrogimi oczami… Dokładnie przede mną, stojąc na pustej skrzynce po ziemniakach, profesor Tytus w swoim szarym mundurze mówił nam o Męce… Słowa, które płynęły mu prosto z serca, zapadały głęboko. Cały barak milczał, podczas gdy ten wątły, szary człowiek rozważał na głos, stojąc na swojej skrzynce. Jego oczy błyszczały za grubymi szkłami, pozwalając zapomnieć o

reszcie jego obdartej i nędznej postaci. Cisza stała się niemal przytłaczająca. Każdy zmagał się ze swoimi problemami i nędzą, ale ojciec Tytus dawał wszystkim rozwiązanie: naszą miłość do Boga". Powiedział: „W tym dniu musi być w nas atmosfera radosnej wdzięczności, ponieważ możemy widzieć mękę Chrystusa złączoną z naszym cierpieniem". Jeden ze słuchaczy wspominał: „Wróciliśmy w milczeniu do naszych baraków; nikt nie mówił: duch Boży nas dotknął". Inni mówili później, że był to najpiękniejszy moment ich uwięzienia.

Strażnicy zwęszyli coś z tego dziwnego spotkania i nazajutrz Tytus został ukarany: musiał ciągnąć niezwykle ciężki walec służący do wyrównywania żwiru na drodze. W obozie darzono go taką sympatią, że wszyscy nazywali go „wujkiem Tytusem". O pocieszenie prosili go Żydzi, protestanci, komuniści, ateiści, i wszyscy każdego ranka słuchali, jak siedząc w środku sypialni, opowiada o życiu świętego patrona dnia. Co więcej, narzekali, bo chcieli dłuższych opowieści. Pewien młody więzień – słysząc, jak Tytus ubolewa czasem, że zapomniał różańca, gdy Gestapo wywlekało go z klasztoru – zrobił mu go z kawałków drewna i miedzi.

Pozostał w tym okropnym więzieniu do maja, ale nie pokładał już nadziei w ludziach: „nie wypuszczą mnie już i pojadę na pewno do Oranienburga albo do Dachau, skąd się nie wraca".

Nadeszła decyzja SS o przeniesieniu go do Dachau: „Poinformowano mnie, że trzymają mnie w uwięzieniu profilaktycznie z powodu mojej antyniemieckiej postawy: obawiają się, że źle wykorzystałbym wolność, działając przeciwko Niemcom". Wiedzieli, że jest bardzo chory, ale ten sam Hardegen wyjaśniał, że w Dachau opieka nad więźniami jest bezpłatna, ponieważ jest to – jak ujął to dosłownie – „instytucja ludzkiej solidarności".

Tytus skomentował to w liście do brata: „Złożyłem wszystko w ręce świętego Józefa, który przeniósł małego Jezusa z Egiptu do Nazaretu. Podobnie jak Jezus i Matka Boża, powierzam się jego potężnej opiece. Przyłącz się i ty do moich modlitw". W sercu zaś pielęgnował tę pocieszającą myśl, która leżała u samych podstaw jego wiary: „Bóg jest wszędzie!".

Zatrzymali go w więzieniu w Kleve, w oczekiwaniu na transport; co tydzień wywożono około czterdziestu więźniów. Kapelan więzienny, który poznał go w dniach tego smutnego oczekiwania, powiedział o nim: „Bóg udzielił mi łaski spotkania człowieka pełnego wiary". Wyruszył w kajdanach trzynastego czerwca 1942 roku. Ostatnie słowa, jakie kapelan usłyszał z ust Tytusa, brzmiały: „Nic złego nie może mi się przytrafić, bo Pan mi towarzyszy". Miał w tej kwestii absolutną pewność, tym bardziej że poprzedniego wieczoru mógł przyjąć Komunię Świętą.

Gdy przybył do obozu 19 czerwca 1942 roku, jego pierwsze spotkanie odbyło się z „kapo" (jednym ze złej sławy funkcyjnych), który żywił szczególną nienawiść do duchownych. Na powitanie zaczął go okładać deską, a podczas marszu zabawiał się, kopiąc go w pięty, aż zaczęły krwawić. Takie traktowanie stało się odtąd systematyczną, codzienną udręką. Widząc go w tak marnym stanie, jeden z SS-manów powiedział mu, żeby się nie martwił, bo wkrótce „będzie mógł świętować swoje Wniebowstąpienie, przechodząc przez komin krematorium".

Przypadł mu numer **30492**, bo tylu więźniów go poprzedziło... Gdy pod koniec 1945 roku obóz zostanie zlikwidowany, numeracja dojdzie do 180 000, nie licząc tych, których zamordowano przed nadaniem numeru. Pewnego razu w jednym transporcie przybyło ponad tysiąc polskich księży. Obóz był podzielony na trzydzieści bloków, z których trzy przeznaczono dla duchownych; każdy blok miał cztery podwójne sypialnie, a każda sypialnia miała mieścić stu więźniów. Dochodziło jednak nawet do trzystu pięćdziesięciu osób, tak że na jednej pryczy musiało spać kilka osób. Zresztą byli tak wychudzeni, że dawali radę się zmieścić!

Musieli pracować jak galernicy przez trzynaście godzin dziennie, bez niedziel i dni odpoczynku. Pomiędzy pracą, marszami i apelami dzień morderczego wysiłku zaczynał się o czwartej rano, a kończył o dziewiątej wieczorem. Jedzenie stanowiło 250 gramów chleba rano i wieczorem, a w południe miska ciepłej wody z garścią czerwonej kapusty lub buraków; czasem trafiał się ziemniak. Gospodarstwo, w którym Tytus musiał pracować przy uprawie ziół leczniczych – co wiązało się z karczowaniem, kopaniem i przenoszeniem kamieni – nazywano ironicznie „Willą miłości".

Choć inni księża starali się mu pomagać na wszelkie sposoby, musieli podtrzymywać go już podczas marszu – nie wytrzymywał tego tempa, dodatkowo potęgowanego przez nieustanne, okrutne kary: kopniaki, uderzenia pięścią, chłosty do krwi. Inni mówili, że „traktowano go jak biczowanego Chrystusa". Mimo to z jego ust nigdy nie wydobyło się słowo krytyki pod adresem oprawców. O strażniku, który uderzeniem menażki rozciął mu usta, powiedział: „Biedaczysko, tak mi go żal, nie potrafię żywić do niego urazy".

Oddawał się swoim najdroższym miłościom: Matce Bożej Karmelu i Eucharystii. Jego współbrat opowiadał: „Wieczorem, wracając wycieńczeni pracą, a często i bitem, Tytus mówił mi: 'Bracie, Maryja musi nam pomagać i nas wspierać; jeśli Ona wyciągnie nad nami swą dłoń, zdołamy wiele znieść...'". Najcenniejszym wsparciem była jednak Eucharystia, którą udawało im się otrzymywać niemal codziennie od uwięzionych w obozie niemieckich księży, cieszących się nieco większą swobodą. Jedną cząstkę Hostii Tytus przechowywał do następnego dnia w etui na okulary; resztą dzieliło się nawet dziesięciu więźniów, ryzykując za każdym razem najokrutniejsze kary. Noc, podczas której przez wiele godzin nie mógł zasnąć, Tytus spędzał na adoracji tego kawałka świętej Hostii, powierzając mu cierpienie wszystkich. Mówił, że Jezus Eucharystyczny jest także „wielkim więźniem".

Pewnego dnia, gdy pobito go mocniej niż zwykle, nazywając przy każdym uderzeniu „workiem ekskrementów", na pytanie kogoś, czy bardzo cierpiał, odpowiedział: „Ach bracie, ja przecież wiedziałem, Kogo mam przy sobie!". Był cały uradowany, ponieważ zanim upadł na ziemię, zdołał ukryć pod pachą etui na okulary, które stało się jego cyborium.

Pewien pastor protestancki, który poznał go i podziwiał w tym łagrze, powiedział, że ojcu Brandsmie udało się posiąść „raj serca w piekle obozu" oraz roztaczać wokół siebie pokój i radość Chrystusa. Był on tak skrajnie wycieńczony, że jego współwięźniowie uznali pewnego dnia za stosowne zarekomendować go kierownikowi sekcji szpitalnej w celu

hospitalizacji. Oprawca okazał się aż nazbyt chętny, by im pomóc: Tytus został zabrany i nigdy więcej go nie zobaczyli.

Wszystko, co wydarzyło się później, wiemy dziś od wyjątkowego świadka: świadka, którego nazwisko nie zostało ujawnione, gdyż osoba ta była poszukiwana przez międzynarodową policję pod zarzutem spowodowania śmierci tysięcy deportowanych. To ona zabiła Tytusa i nawróciła się właśnie dlatego, że pamięć o nim nigdy jej nie opuściła. Wtedy była młodą dziewczyną pracującą jako pielęgniarka, która ze strachu wypełniała nieludzkie rozkazy oficera lekarza. To na nią w praktyce spadały wszystkie egzekucje. Dziś jest bardzo starszą kobietą, która od tamtego czasu żyje w pokucie i udręce swej przeszłości.

To ona opowiedziała „w tajemnicy", że Tytus „w chwili przybycia do infirmerii znajdował się już na liście skazańców". To ona opowiedziała o eksperymentach, jakie przeprowadzano na chorych, w tym na Tytusie, i o tym, jak w jej pamięci wbrew jej woli wyryły się słowa, z którymi znosił on złe traktowanie: „Ojcze, nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie".

To ona opowiedziała, jak wszyscy chorzy nienawidzili jej i zawsze lżyli ją najgorszymi wyzwiskami; i jak bardzo została wstrząśnięta tym, że ten starszy ksiądz traktował ją natomiast z delikatnością i szacunkiem ojca: „Pewnego razu wziął mnie za rękę i powiedział: 'Jakaż z pani biedna dziewczyna, będę się za panią modlił!'".

To właśnie jej więzień podarował swój nędzny różaniec, zrobiony z miedzi i drewna, a gdy zirytowana odparła, że ten przedmiot na nic jej się nie przyda, bo nie umie się modlić, Tytus powiedział jej: „Nie musisz odmawiać całego *Zdrowaś Maryjo*; mów tylko: 'Módl się za nami grzesznymi'".

I to jej, owego 26 lipca 1942 roku, lekarz oddziału podał dawkę kwasu fenolowego, aby wstrzyknęła ją do żyły. Był to rutynowy gest, pielęgniarka wykonała go już setki i tysiące razy, ale ta biedna kobieta wspomina: „Przez cały ten dzień czułam się źle".

Zastrzyk wykonano za dziesięć druga, o drugiej Tytus zmarł: „Byłam obecna, gdy oddał ducha... Doktor siedział przy łóżku ze stetoskopem, aby zachować pozory. Gdy serce przestało bić, powiedział do mnie: 'Ta świnia zdechła'".

O swoich oprawcach ojciec Tytus zawsze mówił: „Oni także są dziećmi dobrego Boga i być może pozostało w nich jeszcze coś dobrego…".

Bóg udzielił mu właśnie tego ostatniego cudu. Lekarz obozowy sarkastycznie nazywał ten zastrzyk z trucizną „zastrzykiem łaski". I oto w chwili, gdy pielęgniarka mu go podawała, wstawiennictwo Tytusa naprawdę wlało w nią łaskę Bożą. Podczas procesów kanonicznych ta biedna kobieta wyjaśniła, że twarz tego starego księdza utkwiła w jej pamięci na zawsze, ponieważ wyczytała z niej coś, czego nigdy wcześniej nie znała. Powiedziała po prostu: „On miał dla mnie współczucie!". Tak jak Chrystus.